

ZBRODNIA NIE UKARANA

KATYŃ – TWER – CHARKÓW

**NIEZALEŻNY KOMITET HISTORYCZNY BADANIA ZBRODNI KATYŃSKIEJ
POLSKA FUNDACJA KATYŃSKA**

WARSZAWA 1996

ZESZYTY KATYŃSKIE nr 6

Pod redakcją Marka Tarczyńskiego
Redaktor: Janina Snitko-Rzeszut
Projekt okładki: Krystyna Tarkowska

© Copyright by Zeszyty Katyńskie

ISSN 1426-4064
ISBN 83-905877-0-X

Skład, druk i oprawa:
Drukarnia WN ALFA-WERO Sp. z o.o.
Zam. 2265/96

NADZIEJA KRASSOWSKA

RELACJA O MASOWYM MORDZIE W TAKLINOWIE*

Była niedziela, chyba 21 czerwca 1941 roku. Nad polskim niebem ukazały się samoloty niemieckie lecące na wschód, ku granicy ZSRR. Wtedy nastąpiły masowe aresztowania Polaków przez NKWD. Mąż mój, Stanisław Spaltabaka, był naczelnikiem poczty w Plissie, pow. dziśnieński, woj. wileńskie. Ruscy zwolnili go z pracy 1 maja 1940 roku. Ja byłam nauczycielką w Plissie. Wkrótce potem zostałam przeniesiona do wiejskiej szkoły z jednym nauczycielem. Mieszkaliśmy w budynku szkolnym. Na naszym utrzymaniu było pięcioro dzieci.

21 czerwca 1941 roku przyszedł do nas Edmund Alchimowicz – kierownik szkoły z Plissy, aby uprzedzić męża, że jutro NKWD zapewne ich aresztuje. Umówili się, że nazajutrz mąż przyjdzie do niego na godzinę piątą rano i razem ukryją się w lesie.

Tymczasem enkawudziści zjawili się u nas 22 czerwca już o godzinie czwartej rano i aresztowali męża. Rewizja była pospieszna. Mąż nie należał do żadnej organizacji. Był Polakiem. Nie było u nas żadnej broni. Przed szkołą stał samochód ciężarowy, a na nim było już wielu aresztowanych Polaków. Wszystkich powieźli do Plissy i osadzili w miejscowym areszcie, który mieścił się w budynku gminy.

Gdy samochód z aresztowanymi ruszył, pobiegłam do Plissy – do Edmunda Alchimowicza, aby go zawiadomić o aresztowaniu męża. Była szósta rano. Kierownik nie spał. Nerwowo

* Relacja napisana ręcznie przez autorkę we wrześniu 1992 roku w Toruniu.

chodził po pokoju. Błagałam go, by czym prędzej gdziekolwiek się ukrył, a on powiedział mi: – Pójdę na Sybir śladami naszych przodków, a pani niech zostanie dobrą Polką. Rozmowa trwała niecałe 5 minut. Siedziałam blisko okna. Zauważyłam enkawudzistów i powiedziałam: – Już idą. Uciekłam drugimi drzwiami, prowadzącymi na podwórze. Drzwi były otwarte, a budynek nie był otoczony.

Kierownika szkoły umieszczono w tym samym areszcie, co męża. Natychmiast się tam udałam, bo chciałam wiedzieć, jaki los czeka zatrzymanych. Po południu nadjechał pod areszt odkryty samochód ciężarowy. Tym razem był pusty, ale wkrótce wypełnił się aresztowanymi i ruszył w kierunku Głębokiego. Dojechał do Berezwecza, gdzie tuż za miastem stał ogromny klasztor paulinów pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, zamieniony po 17 września 1939 roku przez Ruskich na więzienie. Tu co dzień przywożono coraz to nowych ludzi w miejsce wymordowanych.

Nazajutrz, 23 czerwca rano, ruszyłam do odległego 20 kilometrów Berezwecza, by dostarczyć mężowi coś do jedzenia. Szybko jednak wróciłam do domu, bo wszędzie po drodze spotykałam ludzi, którzy mówili, że naszych popędzono w kierunku granicy wschodniej. Kiedy szli, słońce prażyło niemiłosiernie. Skazańcy chcieli pić, pokazywali spierzchnięte wargi. Ludzie próbowali podejść do nich z wodą, ale enkawudziści nie zezwalali; krzyczeli – Uchadi, strielat' budiem. Za pochodem nieszczęsnych ludzi jechały chłopskie wozy, a na nich rodziny enkawudzistów.

Kilka dni później postanowiłam jednak pójść za granicę śladami aresztowanych. Nie chciałam iść sama. Bałam się. Nie mogłam znaleźć nikogo, kto by chciał dzielić ze mną tę niebezpieczną podróż. Udałam się więc do Prozorok, gdzie kiedyś pracował mój mąż na poczcie i miał tam znajomych. Tu dowiedziałam się, że wszystkich aresztowanych Ruscy wymordowali. Masakry uniknęła akuszerka – znajoma męża (nazwiska nie pamiętam). Szła podobno w jednej czwórce z moim mężem. Straciła go z oczu, gdy zaczęło się rozstrzeliwanie leżących na szosie. Wtedy ta kobieta zatoczyła się do rowu i upadła sphywającą tam krwią mordowanych. Kiedy dobijano żyjących, jeden z enkawudzistów zauważył, że ona też jeszcze żyje i wyce-

lował w jej stronę, lecz drugi, widząc, że jest to starsza osoba, powiedział: – Astaw, żałka puli, ana i sama padochriet (Zostaw, szkoda kuli, ona i sama zdechnie). Ta kobieta powiedziała mi, że ci, którzy siedzieli w więzieniu, nie byli w stanie długo iść, pełzali na kolanach lub posuwali się na siedzeniu. Z pragnienia, głodu i zmęczenia padali, mdleli. Tych od razu zabijano. Liczba enkawudzistów, którzy konwojowali skazanych, rosła coraz bardziej, gdyż uciekali oni przed Niemcami i dołączali tutaj, pomagając znęcać się nad pędzonymi ludźmi. Dołączali też komsomolcy. Niektórzy enkawudziści szli z pistoletami w rękach, inni jechali na koniach. Było też mnóstwo psów tropiących. Prowadzono ich w kierunku Witebska i wszystkich wymordowano w Taklinowie.

Pomimo takich wiadomości postanowiłam pójść i szukać męża. Towarzyszyła mi młoda kobieta, żona sołtysa, Janina Brachun, która zdecydowała się iść ze mną. Jej męża też aresztowano. Szliśmy początkowo drogą leśną, potem szosą. Przez ten skrót zostawiłyśmy z boku Uszaczę, gdzie jeden z księży rzucił się z mostu do rzeki. Mijałyśmy wsie: Saroczyno, Balbinowo, Kapuścino – już na ziemi sowieckiej, w kierunku Witebska. Nie pamiętam kolejności wymienionych wyżej miejscowości, ale na pewno tą właśnie trasą nasi szli na śmierć. Jeśli ktoś umęczony rzucał swój tobołek, konwojenci mówili: – Nie brsajtie, my was na rabotie do Witebska wiedzom. Przy drogach często spotykałyśmy świeże mogiły – to były groby naszych pomordowanych. Pod wsią Saroczyno, tuż przy drodze, była mogiła nauczycielki z Dzisny – Wandy Cybulskiej (powiedzieli nam o tym miejscowi).

Doszłyśmy wreszcie do kołchozowej wsi Taklinowo. Tu krzyżowały się drogi. Jedna z nich rzeczywiście prowadziła do Witebska. Mieszkańcy wsi mówili, że to tu rozstrzelano bardzo dużo Polaków. Wszystko działo się na ich oczach. Podczas bombardowania Uły – podobno jakiegoś mostu – padła komenda: – Łażyties'. Taki rozkaz padał już niejednokrotnie, nim tu doszli. Tym razem padli na ziemię po raz ostatni. Rozpoczęła się egzekucja. Zabijano strzelając w głowę z pistoletów. Żyjących dobijano. Zabitych ściągano do rowów i znowu komenda dla następnych: – Wystupit', łażyties' – i dalej strzelano. W pewnym momencie nadleciały niemieckie samoloty. Na szo-

sie leżeli zabici, a po obu stronach stali ich mordercy – enkawudziści. Samoloty zniżyły się, padły z nich strzały i niemal wszyscy mordercy zginęli (tak relacjonowali mieszkańcy Taklinowa). Działo się to najprawdopodobniej 25 czerwca 1941 roku, w czwartek. Dokładnej daty już nie pamiętam.

Potem kazano mieszkańcom Taklinowa ładować zabitych na wozy i grzebać. Tuż w pobliżu wsi był lasek, ludzie nazywali go z białoruska – taklinowski barok. Na skraju lasu znajdowały się głębokie i szerokie doły, w których mieszkańcy kołchozu przechowywali zimą kartofle. W tych dołach złożono ciała Polaków. Doły były wypełnione zwłokami tak, że wyglądały jak ogromne kopce. Dużych kopców było pięć czy sześć. Były też trzy pojedyncze mogiły, bo grzebiąc pomordowanych kołchoźnicy zauważyli, że trzech mężczyzn żyje. Byli oni ciężko ranni i siedzieli, oczekując na śmierć.

Mieszkańcy Taklinowa byli dla nas życzliwi i dobrzy. Wielu z nich mówiło poprawną polszczyzną, bo, jak twierdzili, przodkami ich byli przecież Polacy, a ziemia, na której obecnie mieszkają, należała niegdyś do Polski. Na moją prośbę chętnie zrobili duże, heblowane krzyże – ładne. Po południu wspólnie udaliśmy się na mogiły pomordowanych. Na każdym grobie kołchoźnicy ustawili krzyż. Modliliśmy się. Gdy wracałyśmy do kraju proszono nas, byśmy przyszły do Taklinowa jeszcze raz, ale tym razem z kapłanem. Obiecałam, jednakże nie dotrzymałam obietnicy. Bałam się.

Składając relację o masowym mordzie w Taklinowie, chcę, by młode pokolenie wiedziało, iż nie tylko Niemcy mordowali Polaków, ale czynili to również Rosjanie na Kresach Wschodnich.